

# Antykoncepcja, czyli małżeństwo, jak gdyby Boga nie było

Tomasz Rowiński

**W** roku, gdy mija pięćdziesiąt lat od ogłoszenia encykliki Pawła VI *Humanae vitae*, możemy powiedzieć, że jej aktualność zupełnie nie przemija, przynajmniej w jej najważniejszych rozpoznaniach. Trzeba natomiast powiedzieć, że w świecie nabrzmiały diagnozowane przez nią problemy, np. takie, że całe rzesze katolików nie chcą na siebie przyjmować naturalnych powinności wynikających z zaangażowania w małżeństwo. W konsekwencji przeciwnicy HV niezależnie od osobistych intencji popadają w specyficzny rodzaj pogańskiej koncepcji tego związku, który ma trwać tak, jakby Boga nie było.

Nie chodzi mi tu w żadnej mierze o stygmatyzowanie kogokolwiek, ale o to, że HV nie było w Kościele wypadkiem przy pracy czy „koncepcją mniejszości”, jak próbuje się mówić. Owszem, na Pawła VI wywierano w kręgach kościelnych i pozakościelnych silną presję, by antykoncepcję w Kościele dopuścić. Jednak nawet argument „demokratyczny” słabnie wobec pytania o „stanowisko Kościoła wszystkich czasów”. Jakie ono jest? Chrześcijanie mają powstrzymać się od pożądliwości. Rzecz jasna tradycja chrześcijańska nie ogranicza pożądliwości do seksualności, ale też jej z tego kręgu nie wyłącza, a taką tendencję widać w sprzecznie wobec HV.

Lektura encykliki, a zwłaszcza rozdziału o zasadach doktrynalnych, dość bezpośrednio wskazuje, że pożądliwość, namiętność nie mogą być fundamentem małżeństwa. Paweł VI pisze, że w małżeństwie chodzi:

o tę szczególną formę przyjaźni, poprzez którą małżonkowie wielkodusznie dzielą między sobą wszystko, bez niesprawiedliwych wyjątków i egoistycznych rachub. Kto

prawdziwie kocha swego współmałżonka, nie kocha go tylko ze względu na to, co od niego otrzymuje, ale dla niego samego, szczęśliwy, że może go wzbogacić darem z samego siebie (HV, 9).

Dalej zaś czytamy, że ma to być:

miłość płodna, która nie wyczerpuje się we wspólnocie małżonków, ale zmierza również ku swemu przedłużeniu i wzbudzeniu nowego życia (tamże).

Antykoncepcja występuje przeciwko płodności – to sprawa jasna – naznacza współżycie małżonków obawą przed poczęciem, rozrywa poczucie związku pomiędzy zbliżaniem się do siebie a możliwością pojawienia się dziecka, a równocześnie uzależnia ich oboje od łatwej możliwości nieskrępowanego zaspokajania pożądania.

Zwolennicy antykoncepcji mogą powiedzieć, że właśnie przez użycie sztucznych środków wyraża się ich rozumne podejście do małżeństwa, które zaleca Papież. Co można na to odpowiedzieć?

Jest w tym myśleniu błąd, katolicki sens używania rozumu polega na opanowywaniu poprzez rozum popędów ciała, na dążeniu do zachowania tego, co godne w naturze ludzkiej i małżeńskiej, a nie na sprytnym wykorzystywaniu techniki oraz naszej skłonności do grzechu do utrzymywania dobrego samopoczucia. Zatem zgodne z naturą małżeństwa będzie powstrzymanie się od współżycia w sytuacji pewności, że nie jest się gotowym na przyjęcie potomstwa. Owszem, Paweł VI zostawił katolickim małżonkom NPR, ale wskazał, że naturalne metody rozpoznawania płodności i planowania rodziny nie powinny być traktowane jako chrześcijańska antykoncepcja, ale stosowane w określonych sytuacjach.

Jeśli więc istnieją słuszne powody dla wprowadzenia przerw między kolejnymi urodzeniami dzieci, wynikające bądź z warunków fizycznych czy psychicznych małżonków, bądź z okoliczności zewnętrznych, Kościół naucza, że wolno wówczas małżonkom uwzględniać naturalną

cykliczność właściwą funkcjom rozrodczym i podejmować stosunki małżeńskie tylko w okresach niepłodności, regulując w ten sposób ilość poczęć, bez łamania zasad moralnych, które dopiero co wyłożyliśmy – pisze Paweł VI (HV, 16).

Dziś jednak, gdy ich skuteczność bardzo się rozwinęła, trzeba zadać pytanie, czy NPR w życiu bardzo wielu małżeństw katolickich nie przypominają mojżeszowego „listu rozwodowego” danego ze względu na „zatwardziałość serc” i czy metody te nie wychowują przypadkiem także do życia bez perspektywy poczęcia. Małżeństwo staje się wtedy egoistycznym celem samym dla siebie dokładnie według logiki mentalności antykoncepcyjnej.

Zatem Kościół w HV zdaje się mówić, że sytuacja, w której nie jesteśmy gotowi przyjąć kolejnego dziecka – może po prostu z powodu własnej słabości – powinna nas tym bardziej skłaniać do ćwiczenia się w cnocie i zaprzestania lub znacznego ograniczenia bliskości seksualnej. Choćby dlatego, by do jednej słabości nie dokładać jeszcze drugiej – utrwalanej przez antykoncepcję – bliskiej już wadzie rozwiązłości. Nie rodzić dzieci, współżyć, kiedy się chce, a do tego zastępować owoce miłości (czyli dzieci właśnie) mdłą mistyką mówiącą na przykład, że łożo małżeńskie podobne jest do ołtarza.

Podobnie można odpowiedzieć ludziom, którzy gromadkę dzieci już mają. Owszem, skonsumowanie małżeństwa jest konieczne do zawiązania się węzła, ale nie jest gwarantem ani warunkiem jego trwałości. Wobec rzeczywistych ograniczeń życiowych w przyjmowaniu kolejnych dzieci po prostu trzeba wybrać wstrzeźliwość, ponieważ małżeństwo w każdej sytuacji życiowej jest kagańcem na naszą pożyteczność (w sensie wąskim i szerokim), narzędziem przywracania naszemu życiu jego naturalnego i rozumnego biegu.

Tymczasem antykoncepcjonizm katolików idzie wprost za światem, w praktyce mówiąc, że seks, namiętność, pożyteczność (właśnie sam „seks” jako wyjęty z natury ludzkiej element, którego się używa jako stymulatora wydzielania dopaminy) są jedynym poważnym spoiwem relacji małżeńskich, które mogą być brane pod uwagę. Zatem trzeba robić wszystko, by był możliwie najłatwiej dostępny. Wydaje się to jednak koncepcja dla ludzi przestra-

szonych nowoczesną samotnością, a nie wierzących w powołanie Boże do świętości i dążących do pełnej realizacji natury ludzkiej. Konsekwencje traktowania małżeństwa jako związku romantycznego i nade wszystko erotycznego widzimy na każdym kroku: rozwody, niewierność, bezdzietność. Dlaczego tak jest? Ponieważ następnym krokiem antykoncepcjonizmu jest zanegowanie sensowności małżeństwa jako relacji opartej na rozumnej miłości przyjacielskiej, ale sprowadzenie go do krótkotrwałych sojuszy damsko-męskich przeciwko rozpacy, od której wybawić ma satysfakcja. Trudno nazwać to inaczej niż nihilizmem.

Jeśli NPR możemy potraktować dziś w pewnej analogii do „listu rozwodowego” danego przez Mojżesza, ewentualny ruch Kościoła w kierunku antykoncepcji tym bardziej tak moglibyśmy określić. Byłoby to jednak bardzo poważne sprzeniewierzenie się misji ochrony naturalnego, rozumnego i nadprzyrodzonego charakteru rodziny oraz uznanie, że rozwiązłość – być może „po rozeznaniu” – jest czymś całkiem w porządku. Tak myśli dziś wielu biskupów katolickich o sytuacjach zatwardziałego cudzołóstwa, gdy chcą dopuszczać do Komunii osoby, które skutecznie zawiązały węzeł małżeński, ale teraz żyją w innych związkach. ■